

gdyśmy ukrywali się przed deszczem pod bramą, znowu z ciemności wyłonił się dzielny Doucet. Zdawał się, iż wychodził z pod ziemi, a raczej iż spływał z góry z potokami deszczu, gdyż zsunął się z dachu szopy, cały przemokły.

— Całe szczęście, że mamy tę ulewę — rzekł z pewnym komizmem. — Dzięki temu ludzie nie wysuwają nosa na dwór, a zwłaszcza bachory, od których roi się w parterze. Gdyby nie to, oddawna spostrzeżonoby naszą obecność.

Potem nachylił się do swego szefa i rzekł mu do ucha:

— Na górze wszystko dobrze. Nasz jegomość siedzi w pokoju, plecami zwrócony do okna. Pomylić się już nie można. Postać Lionela Hardy'ego łatwo można rozpoznać. Jest w garniturze wieczorowym, tak jakby wstał dopiero od stołu. Kobieta...

— Właśnie, a cóż ona?...

— Pograżona w głębokim śnie, wywołanym bez wątpienia opium lub morfiną. Nie mogłem dojrzeć jej twarzy, widziałem tylko włosy w nieładzie...

— Poznam ją po włosach — przerwałem.

Obydwaj agenci, którzy zapewne nie przypuszczali, bym mógł słyszeć ich rozmowę, cofnęli się cokolwiek i zamienili z sobą po cichu jeszcze kilka słów, których nie mogłem dosłyszeć. Potem Rollin podsunął się do mnie i nachylając się do mego ucha, zapytał, czy mam dosyć siły i zręczności, by wdrapać się na dach, jak to uczynił Doucet.

— Spróbuję — odrzekłem.

Doucet poprowadził mnie zaraz na koniec szopy. Deszcz i wiatr wyły przeraźliwie.

— Tędy najlepiej wchodzić — rzekł, wskazując mi na rynnę.

— Dostanie się pan tam? Niech pan stanie mi na ramionach, w ten sposób łatwiej się wdrapać.

Podniosłem się na palcach, by przyrzec się drodze, którą miałem przebyć. Mimo wielkich kropel deszczu, które mnie poprostu oślepiły, spostrzegłem szczegóły, na który dotychczas nie zwróciłem uwagi.

— Ależ okno jest otwarte!

— Tak.

— Mogą mnie usłyszeć...

— Mnie nie słyszeli.

— To jeszcze nie racya... Wiatr jednak może wszystko zagłuszyć.

Decydując się nagle, co tem mniej było zrozumiałe, iż nie miałem żadnej potrzeby narażać się na złamanie karku, szepnąłem:

— No, niech będzie, ryzykuję, chociaż już oddawna nie uprawiam gimnastyki.

— Niech pan uczepli się jakiej wystającej cegły i stara się nogi opierać o ścianę boczną. Na górze niech pan zajrzy do środka i zaraz szybko wraca. Będziemy czekali tu, by pomódz panu zejść.

Widząc, że deszcz zaczął spływać po rondzie mego kapelusza, zdjąłem go i oddałem Doucetowi, poczem przystąpiłem do wspinania się na dach. Było to dość trudne, choć nie tak, jak sobie wyobrażałem początkowo. Po trzech minutach byłem już przy oknie. Opierając się obiema rękoma o gzyms, podniosłem się tak wysoko, iż mogłem swobodnie zajrzeć do środka pokoju. Starałem się opanować wzruszenia, które mną miotaly. Mówiłem sobie, że jestem tu, by dopełnić obowiązku, a nie zaspokoić swą ciekawość. Jeżeli człowiek ten zasługuje na pobłażanie, będę pobłażliwy, a przedewszystkiem będę usiłował zapomnieć, że jest on kochany przez Genowefę.

Po raz pierwszy dopiero ujrzałem Lionela takim, jakim musiał się jej przedstawiać. Siedział on w ten sposób, iż z mego punktu obserwacyjnego mogłem widzieć tylko jego profil. Lecz profil ten wywarł na mnie niezwykle wrażenie. Zapomniałem o celu swej obecności tutaj, a przypatrywałem się tylko tej twarzy, której dotychczas nie widziałem jeszcze ani razu dobrze. Wynikiem mego przyglądania się było zdziwienie i głębokie wzruszenie. W towarzystwie swych braci Lionel Hardy nie był tym człowiekiem, jakiego teraz widziałem tu przed sobą. Tak, nie miał on wysmukłej postaci Jerzego, ani regularności rysów Alfreda. Z tych też względów powierzchowny obserwator mógł uważać, że

w tej rodzinie, tak bogato uposażonej i pod względem piękności fizycznej, jedyny Lionel został potraktowany po macoszemu przez urodę. Przekonałem się teraz, że tak nie jest i że on i pod tym względem może wytrzymać porównanie z większością mężczyzn. Jego poważny i melancholijny wyraz, łagodność wejrzenia, wywierały urok, który mógł mu zjednać sympatyę wszystkich, gdyby nie odczuwało się, że toczy go jakaś tajemna i ciągle obecna w nim myśl, krepująca wylew uczuć z serca pełnego dobroci i prostoty. Wszystkie te uwagi nasunęły mi się, gdy stałem tam wystawiony na deszcz i przyglądałem się jego twarzy. Powagę chwili zwiększała i ta okoliczność, iż był to krytyczny moment jego życia, a mogę powiedzieć, że i życia nas obojga.

Lękałem się z początku, by nie przysunąć głowy zbyt blisko do okna. Widziałem tylko jedną część pokoju; dotychczas jeszcze nie dojrzałem Anity. By więc wywiązać się z swej misji, chciałem podsunąć się bliżej, gdy nagle uszu moich dobiegło tak bolesne i rozpaczliwe jęczenie, iż zdawało mi się,



Po trzech minutach byłem już przy oknie.

że serce me przestało bić. Z jakich ust popłynęła ta bolesna skarga? Czyż to głos kobiety? Czy może?... I znowu to samo! Cóż to ma znaczyć? Wychyliłem się teraz naprzód i wzrok swój zapuściłem śmiało do pokoju. Nigdy nie zapomnę tego przeraźliwego widoku, jaki zarysował się przed moimi oczyma.

Przy słabym świetle płomienia gazowego, który zdawał się lada chwila zagasnąć, ujrzałem podziurawiony siennik, rzucony niedbale w kąt pod brudną ścianę, z której zwisały się zarobaczone kawałki tapety. Na sienniku tym spoczywała kobieta, okryta częściowo podartą koldrą. Jej wspaniałe włosy, jakim podobnych nigdy nie widziałem, leżały rozrzucone w ten sposób, jakby miały zastąpić brak odpowiedniego okrycia. Zastaniały one jej ramiona i piersi i spadały wielkimi, złotymi splotami na ziemię. Nie pokrywały one jej twarzy. Albo kobieta ta poruszyła się, albo też ktoś odsunął jej włosy potem, gdy Doucet zaglądał do pokoju. Widać było wyraźnie rysy, które łatwo mogłem poznać. Była to Anita. Pochylony nad nią tak nisko, iż rękawami ubrania dotykał się brudnego siennika i jej cudownych włosów, Lionel Hardy płakał żałośnie z twarzą, zakrytą rękoma.

Chciałem cofnąć się już z obawy, by nie zakłócić ciekawością swą jego boleści, gdy nagle ujrzałem, jak zerwał się gniewnie z wzrokiem utkwionym w drzwi, które znajdowały się w głębi pokoju, a potem wyciągnął ręce nad tem nieruchomym ciałem, jakby chciał go bronić. Co on ujrzał, co usłyszał? Drzwi były zamknięte, a zdawać się mogło, iż boi się, by kto nie wszedł. Nie spostrzegł on mej obecności, gdyż ani razu nie spojrzał w stronę okna, lecz ciągle wzrok miał utkwiony w wejście. Czy doleciał go jakiś szmer z korytarza? Zapewne, idąc bowiem oczyma w kierunku jego spojrzenia, ujrzałem, jak drzwi otwierają się z początku wolno, potem prędzej, aż otwarły się na oścież. Na progu zarysowała się energiczna postawa starego agenta Rollina, którego zostawiłem na dole pod bramą w rogu domu. Jednocześnie jakiś głos szepnął mi do ucha:

— Niech pan nie rusza się, albo też spuści się na ziemię; moi ludzie pomogą panu zejść. Był tu pan tak długo, iż Rollin stracił cierpliwość.

Zdawało mi się, że najwyżej dwie lub trzy minuty upłynęły od chwili, gdy się tu znalazłem.

— Wolę tu pozostać — odrzekłem po cichu, widząc, że Lionel coś mówi.

— Kto pan jest? — zapytał rozkazującym tonem. Gniew jego był tak wielki, iż można było przypuścić, że nie poznał wchodzącego. — Ja tylko mam prawo być w tym pokoju! Ja za niego zapłaciłem... Och!...

Poznał Rollina. Szybko zasunął koldrę aż na twarz kobiety, nad którą z taką zazdrością czuwał, potem rzekł tonem poważnym, wskazując na kapelusz, który Rollin zatrzymał na głowie:

— Cześć umarłym! Proszę zdjąć kapelusz, panie Rollin.

— Umarłym? — powtórzył agent zdumiony, wchodząc pośpiesznie do pokoju. — Umarła! Ta kobieta nie żyje?

Jeżeli wahał się jeszcze, wątpliwość jego zamieniła się na pewność, gdy dostrzegł wyraz twarzy Lionela.

— Umarła — odrzekł tonem, który nie dopuszcza żadnej odpowiedzi.

Potem gdy Rollin odkrył głowę instynktownie, ten dziwny i niepojęty człowiek postąpił ku niemu i dodał te słowa z jakąś rozrzewniającą powagą w głosie:

— Oddanie poszanowania jej, jest poszanowaniem dla mnie. Umarła jest moja żona.

Zanim Lionel wymówił te pamiętne słowa, Doucet wskoczył do pokoju i stanął koło swego przełożonego. Interesującą była różnica w wyrazie obu tych ludzi. Młodszy, mniej doświadczony i wrażliwszy na nędzę ludzką Doucet, zdradzał swem spojrzeniem i całą postawą zdziwienie i sympatyę, która zaczęła się budzić i w moim sercu, Rollin zaś z przezornością, charakterystyczną starego agenta, osiwiłego w boju, trzymał się w rezerwie. Na okazanie sympatii będzie czas po

wysłuchaniu wyjaśnień, koniecznych po takim wyznaniu. Dla człowieka, przyzwyczajonego do wszystkich nikczemności serca ludzkiego, takie nagłe zniknięcie niebezpiecznego świadka mogło wydawać się zbyt podejrzanem, by zaraz we wszystko wierzyć. Głos starego agenta okazywał w pewnej mierze to, co się działo w jego głowie:

— Sądziłem, że pani Hardy zginęła przed pięciu laty w wypadku w Saint-Germain?

— I ja tak sądziłem — odpowiedział spokojnie Lionel. — Wierzyłem w to przez tygodnie, przez miesiące, jak wierzyła w to moja rodzina, moi przyjaciele. Pewnego dnia... Lecz to jest długa i bolesna historia, panie Rollin. Czy mam ją opowiedzieć zaraz... tutaj?

Gest pełen czci, z jakim położył lekko rękę na czoło umarłej, był dość wyraźny i znaczący. Ponieważ Rollin nie odpowiedział nic, rzekł smutnym głosem:

— Chciałbym, by fakt ten został ogólnie poznany. Mój ojciec nigdy nie wiedział, że w naszym grobie rodzinnym na Père Lachaise pochowana została obca osoba.

(Ciąg dalszy nastąpi).